JAKUB MAŁECKI
AUTOR GŁOŚNEGO „DYGOTU"

SENNOŚĆ

DARMOWY TEKST PROMUJĄCY KSIĄŻKĘ

ŚLADY

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Jakub Małecki

Senność

(fragment „Śladów”)

Kraków 2016

SENNOŚĆ

Zapomniał nazwiska wszystkich koleżanek i kolegów ze szkoły podstawowej, zapomniał kolor oczu jego pierwszej miłości, zapomniał, co ksiądz mówił podczas kazania na jego ślubie, i zapomniał, jakie to uczucie stracić najlepszego przyjaciela. Ale tamten stół i tamtych pięciu mężczyzn pamięta.

Miał wtedy sześć lat i mama nie chciała zostawić go samego. Pobiegli więc we trójkę: rodzice i on. Przez całe życie powtarzał później, że gdyby wiedział, uciekłby w pole albo jeszcze dalej, w zagajnik, ale nie wiedział, tego nigdy się nie wie.

Byli już po kolacji, po oprzęcie i po jednej stronie Pisma Świętego czytanego na głos przez mamę. W narożniku tykał stary zegar po dziadkach, gdzieś daleko ujadały psy. Ojciec siedział przy lampie i drzemał, szeleszcząc rozłożoną na piersi gazetą. Poruszył się gwałtownie na dźwięk kroków za oknem. Odłożył gazetę i podniósł się z fotela: wysoki, barczysty, z długim cieniem pod stopami. Jak ktoś z Pisma Świętego. Franek patrzył z podłogi, jak idzie w stronę drzwi, zabierając cień ze sobą. W tej samej chwili do kuchni wbiegła Terenia od Tałajów. Bez pukania.

W rozpuszczonych włosach pełno miała śniegu. Na policzkach rumieńce. Szczupłe ciało otuliła męskim płaszczem.

– Wszyscy śpią – powiedziała zdyszana, a co potem, Franek już nie pamiętał. Coś o drzewie, coś o tym, że nie próbowała. Patrzył na nią zaciekawiony, zaciskając dłoń na drewnianym wagoniku. Pamiętał za to, że zaraz potem pobiegli: dziewczyna, ojciec, mama i on, z dłonią w jej uścisku.

U Tałajów zostawili go w sieni, przy drzwiach. Oparł się o nagrzaną od pieca ścianę i patrzył, jak ojciec chodzi wokół stołu, próbując ich obudzić, wszystkich pięciu po kolei. Poznał starego Tałaja o bujnych białych wąsach i błyszczącej łysinie. Ramiona i głowę Tałaj ułożył na stole. Jego syn, Wojtek, który kiedyś obiecał Frankowi, że go zabierze na ryby, siedział naprzeciwko w podobnej pozycji. Obaj wyglądali, jakby właśnie zasypiali albo właśnie się budzili. Obok Wojtka zwisał bezwładnie z krzesła

mieszkający dwa domy dalej pan Kokoszka i bełkotał coś przez sen. Pod wargą kołysał mu się gruby sopel śliny.

Dwóch pozostałych Franek nie znał, dopiero następnego dnia ojciec wyjaśnił mu, że to Ruskie, co i tak mu niewiele mówiło. Pamięta tylko, że jeden z nich leżał przy ścianie, pod oknem, i wyglądał jak sterta porzuconych szmat. Drugi wiercił się na krześle obok starego Tałaja – wielki, zarośnięty i półprzytomny jak reszta. Ojciec potrząsał nimi, krzyczał coś, przeklinał strasznie. Zdjął ze stołu butelkę, powąchał i odstawił powoli. Otworzył okno i walił garnkiem o kuchnię. Kokoszkę chwycił za włosy i zdzielił otwartą ręką w twarz. Kokoszka jakby tego nie poczuł.

Matka stała przy kredensie i biegała wzrokiem od jednego do drugiego, głaszcząc po plecach Terenię. Dziewczyna patrzyła to na stół, to na nią, jakby się chciała upewnić, że to wszystko jest naprawdę.

Franek opierał się o ciepłą ścianę i nic nie rozumiał. Wpatrywał się w mętny płyn, którym butelka wypełniona była mniej niż do połowy. Wiele lat później dowiedział się, że służył do polewania na zimę silników, żeby nie zamarzły, i że nazywa się to elegancko metanolem. Wtedy mówili tylko „spirytus drzewny” – to właśnie wykrzykiwał ojciec, kiedy biegał wokół stołu u Tałajów:

– Spirytus drzewny, na rany Chrystusa, czyście poszaleli?!

Frankowi wydawało się to nawet zabawne, ten ojciec, zdyszany, czerwony, wypłoszony, jakby się nie wiadomo co działo, a oni przecież tylko spali.

Mama w końcu się poruszyła, pocałowała Terenię w czoło i wybiegła z domu. Franek słyszał, jak woła pomocy. Pomyślał, że o nim zapomniała albo może uznała, że jak już tak stoi, to będzie stał. Kiedy zniknęła za drzwiami, podszedł do jednego z dwóch mężczyzn, których nie znał – ten wielki, zarośnięty siedział najbliżej – i szturchnął go w ramię. W nosie wiercił go gorzko-kwaśny zapach. Olbrzym obrócił ku niemu głowę, otworzył oczy i wrzasnął:

– *Ja niczewo nie wiżu!*

Zanim Franek rzucił się do drzwi, zobaczył jeszcze, że mężczyzna wymiotuje sobie na kolana, a potem zsuwa się z krzesła. Franek obejrzał się za siebie i wypadł na zewnątrz, uderzając łokciem we framugę. Ojciec krzyknął za nim, żeby się, do cholery, nie oddalał. Chłopak ukucnął za ośnieżonym krzakiem bzu i czekał tak, zmarznięty, dopóki na podwórku nie zebrał się tłum. Ktoś w końcu zaprowadził go do domu.

Nic więcej tamtego wieczoru nie widział. Później było wielkie wydarzenie we wsi, były kolejne pytania, zarzuty i pogrzeby, były lamenty Tereni Tałaj i całej siedmioosobowej rodziny Kokoszków. Później Franek usłyszał znów słowa „spirytus drzewny” i po raz pierwszy pomyślał, że to, co widział u Tałajów, to było umieranie.

Nigdy go tamten obraz nie opuścił. Franek próbował wyrzucić go sobie z głowy piciem, bójkami, kobietami i Bogiem. Bez skutku. Od tamtej pory, od tamtego wieczoru przez całe życie patrzył, jak tych pięciu mężczyzn umiera. Umierali, kiedy pomagał w polu i kiedy żegnał się z rodzicami, umierali, kiedy uczył się do egzaminów na studiach i kiedy sam dyktował w szkole treść sprawdzianów. Umierali, kiedy jadł śniadanie, kiedy pił kawę, kiedy stał w zatłoczonym tramwaju i kiedy oglądał film w kinie, nawet wtedy, kiedy przysięgał Mirce przed ołtarzem.

Później, po latach próbował dowiedzieć się czegoś więcej o tamtym wieczorze, rozpisywał w głowie scenariusze w nadziei, że zrozumie, wytłumaczy to sobie jakoś – że to się zdarza, że tak widocznie musiało być albo że to po prostu życie, jak to się mówi, kiedy się nie umie powiedzieć nic innego.

Wszyscy powtarzali to samo, tylko z czasem każdy jakby bardziej, jakby każdy jednak wiedział więcej, niż się na początku wydawało, a już na pewno więcej, niż wiedzieli inni. Spirytus na stole postawił podobno Tałaj, bo bimber, który miał im wystarczyć na całą noc, nie wystarczył. Potem po kolei zaczęli bełkotać i przysypiać. Kokoszka majaczył, jeden z Rosjan narzekał na wzrok. Kiedy wszyscy posnęli, córka przybiegła po rodziców Franka, a co się działo dalej, to już widział.

Najwięcej mówiło się o tamtych dwóch Rosjanach, bo w okolicy widywano ich od niedawna. Tałajowie i Kokoszka byli ogoleni, zadbani, przynajmniej o tyle, o ile się o siebie dbało, za to tamci dwaj jakby brudni, zarośnięci. Krążyły plotki, że ich gdzieś więziono, że żyli w jamie pod stogiem Tałajów i że przyjechali nocą, żeby spalić całe Kwilno. Chwaścior rozpowiadał, że Rosjanie spadli prosto z nieba – sam widział.

Nigdy się to nie wyjaśniło i choć z czasem Franek poznał mnóstwo wersji wydarzeń, to uważał, że najbliższe prawdy były te najbardziej prozaiczne. Przyszli wieczorem, szukali noclegu, może przynieśli bimber, może Tałaja postraszyli. Franek wiedział, że życie to jednak nie jest powieść, żeby się zawsze układało w zrozumiałe i wytłumaczalne historie. Wiedział, że nie ma się co po nim zbyt wiele sensu spodziewać.

W każdym razie jego własne z powieścią wspólnego miało niewiele: żył zawsze zwyczajnie, a jedyne, co mógł opowiadać jako ciekawą historię, to tamto umieranie wokół stołu, które wolałby, żeby się nigdy nie zdarzyło.

Wyprowadził się z Kwilna, kiedy tylko nadarzyła się okazja. Z pomocą wuja skończył studia i dostał pracę w szkole. Ożenił się i zamieszkał z teściami. Miał mnóstwo znajomych, dobrze czuł się wśród ludzi. Łatwo wpadał w nałogi. Najpierw dużo pił, później dużo palił. Przez dziesięć lat sklejał modele samolotów, potem z zapałem zaczął wędkować. Dzieci z Mirką nie mieli.

Bezsenność przyszła nagle. Miał wtedy trzydzieści osiem lat, własne mieszkanie, młodszą o pół dekady żonę i stanowisko wicedyrektora w szkole podstawowej. Zaczął już tyć, łysieć jeszcze nie. Wszystko układało się dobrze, a przynajmniej nieźle, i pewnej nocy po prostu nie zasnął. Kolejną też spędził bezsennie. Od tamtej pory sypiał najwyżej dwie–trzy godziny na dobę.

– Czego ty się tak wieczorami denerwujesz? – pytała go Mirka, kiedy po raz kolejny zrywał się z łóżka i wciągał na siebie spodnie, żeby pójść na spacer. – Od spania się nie umiera.

Potem wychodził z mieszkania i w nadziei na zmęczenie szybkim marszem pokonywał kolejne kilometry. Palił jednego od drugiego. Chodził ulicami Warszawy i patrzył w twarze pięciu mężczyzn, których trzy dekady wcześniej widział u Tałajów przy stole. Wracał, kładł się, to samo.

Codziennie rano siadał zmęczony w swoim gabinecie z oknem wychodzącym na boisko i zapalał pierwszego aresa. Obserwował dzieciaki biegające za piłką. Czuł, że dłużej nie wytrzyma. W ciągu dnia zwykle dochodził do wniosku, że tej nocy już zaśnie, tej nocy to już na pewno, a potem przeczekiwał kolejne lekcje, wracał do domu, kąpał się, wypijał szklankę kakao albo melisy, wsuwał się pod kołdrę i nic.

Pod powiekami miał tylko Tałajów, Kokoszkę i dwóch zarośniętych Rosjan. Żył z nimi i w końcu się do nich przyzwyczaił.

W noc po śmierci żony przespał pięć godzin bez przerwy. Kiedy wstał, wirowało mu w głowie. Później znowu to samo – wieczne kręcenie się w łóżku, nocne spacery, mleko, alkohol, melisa. Któregoś ranka zobaczył w lustrze twarz starego człowieka, osunął się przy ścianie i zamknął oczy. Płakał i przeklinał na głos.

Niedługo później napadli go w tunelu. Szedł na tramwaj; wtedy zaczynał już kuleć. Przystawili nóż do gardła, kazali dać pieniądze. Zrobił, co

chcieli. Wszystko by im wtedy dał, żeby go tylko puścili. Wrócił do domu i wyniósł wreszcie wszystkie worki ze śmieciami, które stały w kuchni i przedpokoju od czasu pogrzebu Mirki. Potem położył się na kanapie, przykrył kurtką i spał jak kamień do rana.

Następnego dnia pomalował mieszkanie. Kupił kilka nowych, drogich ubrań. Nigdy mu się tak nie chciało żyć jak wtedy. Codziennie widział starego siebie w lustrze, ale nigdy już na ten widok nie płakał. Zapominał coraz więcej rzeczy z dzieciństwa. Zapomniał twarze swoich dziadków, zapomniał imię, które nadał w dzieciństwie czarnemu psu sąsiadów, zapomniał, jak się nazywał znienawidzony przez niego wykładowca łaciny, i zapomniał, ile miał lat, kiedy razem z innymi próbował w Kwilnie podpalić szalonego Chwaściora. W ostatnich latach życia sypiał dobrze i cieszył się na myśl, że któregoś dnia zapomni wszystko, również twarze pięciu mężczyzn siedzących przy stole.

Senność. fragment „Śladów”
Copyright © 2016 by Jakub Małecki
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2016

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.
Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Wydanie I, Kraków 2016
ISBN EPUB: 978-83-7924-683-0
ISBN MOBI: 978-83-7924-684-7

wsqn.pl
WydawnictwoSQN
wydawnictwosqn
SQNPublishing
wydawnictwosqn
WydawnictwoSQN
 Sprzedaż internetowa labotiga.pl
E-booki
Zrównoważona gospodarka leśna